

Ranek, 7 października

Z wściekłością zatrzymałem się pod wskazanym adresem na Koszykowej. Z całą premedytacją zaparkowałem samochód pod znakiem zakazu zatrzymywania, ale gdzie indziej nie było wolnego miejsca. Wyszedłem z wozu z taką miną, że idący w moją stronę patrol straży miejskiej nagle postanowił poszukać szczęścia w okolicach Parku Łazienkowskiego. Wbiegłem po schodach do wnętrza burego budynku pokazując bez zatrzymywania stojącemu na warcie żołnierzowi swoją legitymację emeryta i ruszyłem na piętro.

- Stać, tak nie można! - nawoływał żałośnie szeregowy z parteru. Nie bardzo wiedział, co robić. Czy biec za mną opuszczając stanowisko służby, czy zostać. W końcu złapał za słuchawkę telefonu i zaczął pospiesznie wybierać numer na archaicznej tarczy, ale ja już byłem daleko.

Po numerach pokoi zacząłem szukać gabinetu Filipskiego. Nie było ich tam dużo, a poza tym cały korytarz wyglądał tak, jakby czas zatrzymał się tu dziesięć lat temu. Szare lamperie na ścianach, wytarty czerwony chodnik i pomalowane olejną farbą drzwi do pokoi biurowych. Aż się wzdrygnąłem. Zbyt dobrze to znałem.

Wparowałem do gabinetu oznaczonego numerem z wizytówki Filipskiego. Lecz tam, zamiast pułkownika na mój widok poderwał się młody podporucznik ze świeżo wyhodowanym anemicznym wąsem i wyprężył się mężnie. Niestety był chudy i ważył dobre dwadzieścia kilogramów mniej ode mnie, a poza tym był zbyt młody, aby poznać wszystkie brudne chwyt, których nauczył mnie Filipski.

- Słucham pana? - zapytał bohatersko, a ja tymczasem dojrzałem obite gąbką i skajem drzwi do drugiego pomieszczenia. Zapewne to właśnie tam pracował mój wczorajszy gość.

- Do pułkownika Filipskiego! - rzuciłem kierując się ku drzwiom.

- Nie ma go - odpowiedział niepewnie młody oficer. - Proszę się umówić telefonicznie...

- Już się umówiłem - warknąłem i zdecydowanie napałem na drzwi. Podporucznik heroicznie stanął w obronie wrót swojego szefa, lecz nie mógł mnie tego dnia powstrzymać. Możliwie łagodnie, acz stanowczo odsunąłem go na bok i wszedłem do gabinetu Filipskiego.

To był mały pokoik. Znacznie mniejszy niż się spodziewałem. Szary i zakurzony wcale nie wyglądał dużo lepiej od mojego mieszkania. Za ciemnym tandetnym biurkiem siedział w szarym obrotowym fotelu Andrzej Filipski. Miał na sobie szary, dwurzędowy garnitur z delikatnej wełny i pykał spokojnie drewnianą fajkę z aromatyzowanym tytoniem. Spoglądał na mnie spod, jak mi się wydawało, żartobliwie opuszczonych powiek. Jedną ręką trzymał tę swoją fajkę, a drugą położył na stercie papierów, które poniewierały się na biurku.

- Panie pułkowniku, nie mogłem go zatrzymać! - poskarżył się podporucznik masując

wykręconą przeze mnie rękę. - Jeśli pan natychmiast nie wyjdzie, będę zmuszony użyć broni!

- Niech pan tego nie próbuje, poruczniku - dobrotliwie odezwał się Filipski. - Chyba że chce pan zostać kaleką. Pan Niczewicz bardzo źle znosi, kiedy ktoś terroryzuje go bronią. Ma to chyba... hm... po swoich byłych przełożonych.

- Ale on... ale on... - denerwował się młodzieniec.

- Już wszystko w porządku, poruczniku Dmowski - uspokoił go pułkownik. - Ten pan jest moim gościem. Proszę dopilnować, aby nikt nam nie przeszkadzał.

- Tak jest - zasalutował oficer i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy wyszedł, wyjąłem z kieszonki koszuli jego wizytówkę i rzuciłem ją bezceremonialnie na biurko. Nawet na nią nie spojrzał.

- Nie musiałeś tego pisać - rzekłem chłodno.

- Masz rację, nie musiałem - zgodził się ze mną i gestem wskazał krzesło.

Usiadłem nie spuszczając z niego wzroku. Tyle lat go znałem, a jednak nie potrafiłem rozgryźć. Filipski nigdy nikomu nie pozwalał się za bardzo zbliżyć. Wytrzymał moje spojrzenie, po czym odwrócił się i sięgnął do zabudowanego w ścianie sporego sejfu, z którego wydobyl koniak i dwa pękate kieliszki. Bez słowa postawił je na biurku i napełnił złocistym płynem.

- Czas na rewanż - wyjaśnił, a kiedy wypiliśmy wrócił do poprzedniej kwestii: - Nie musiałem pisać tych małych słów, ale wtedy byś tu nie przyszedł z żądzą mordu w oczach. Nigdy nie potrafiłeś się nauczyć, że oczy to zwierciadło duszy i wszystko tam widać. Ciebie zawsze zdradzą oczy. Widzisz Robercie, ja zawsze miałem wszystko, co najlepsze. Choć czasem trudno to było zdobyć. Ty wciąż jesteś najlepszy i dlatego musisz pracować dla mnie.

- Co to za brednie? - zapytałem grzecznie i sięgnąłem po kieliszek, kiedy pułkownik go napełnił.

- Powierzono mi przeprowadzenie pewnego poważnego przedsięwzięcia - mówił. - Ręczę głową za jego powodzenie. Muszę więc mieć pewność, że wszystko się uda. Aby tak się stało, muszę używać tylko najlepszych materiałów.

- Chociaż jesteś szczery - parsknąłem. - Żadnych dyrdymałów o sentymentach i przyjaźni. Jeśli jesteś przydatny, to cię bierzemy, jeśli nie, to znikaj nam z oczu.

- Szczerość i lojalność w tym przedsięwzięciu to podstawowa sprawa - powiedział w zamyśleniu. Przez moment przypatrywał mi się dziwnie, jakby coś w środku ważył. Potem uniósł nieznacznie wzrok i dodał:

- Kiedy pracujemy razem, to nasza prywatna sympatia, może nawet przyjaźń nie ma nic do rzeczy. Jeżeli coś schrzanisz, to za to zapłacisz. I to bez taryfy ulgowej.

Zabrzmiało to jakoś dziwnie złowrogo. Może oczy mogły mnie zdradzić i zawieźć w różnych sytuacjach, ale dziwne ciarki w krzyżu nigdy mnie nie zawodziły. Filipski był poważny jak śmierć i to właśnie mi się nie podobało.

- To wyzwanie, jakiemu jeszcze nie stawialiśmy czoła - podjął po chwili milczenia, a może wahania. Może w ostatniej chwili zawiódł go instynkt i uznał, że nie powinien wprowadzać mnie w całą sprawę?

- A jeśli się nie zgodzę? - zapytałem chyba tylko z czystej przekory wykorzystując chwilę przerwy. - Ja już nie lubię tych gierek, układzików, tajnych przedsięwzięć...

- Zgodzisz się... - skinął głową Filipski.

Mam swoją emeryturę i niczego nie potrzebuję...

- Nie chcesz się przyznać, ale ty to właśnie lubisz - mówił powoli z lubością przeciągając głoski. - Lubisz dresczyk emocji. Uzależniony jesteś od kopa, jaki daje adrenalina w chwilach największego ryzyka. A poza tym, gdzie pójdziesz? Opuściła cię żona, wszędzie indziej będziesz tylko szpiclem i każdy będzie na ciebie krzywo patrzył. Musisz w końcu zrozumieć, że to my jesteśmy twoją prawdziwą rodziną i przyjaciółmi. Tylko my wiemy, co czujesz i czego pragniesz. I tylko my możemy ci to wszystko dać. W zamian za lojalność. Miałem kilku oficerów i tacy jak ty nie trafiają się zbyt często. Ja nie wypuszczam z rak takich diamentów, bo szybko stałbym się żebrakiem, szlifuję ich starannie, bez pośpiechu. Życ możesz tylko ze mną, naprawdę żyć. Oddychać pełną piersią i być jednym z wybranych, którzy znają prawdę o otaczającym świecie. W przeciwnym razie czeka cię nędzna vegetacja z butelką przy poduszce, aż w końcu dopadnie cię brudna i samotna śmierć.

'- Nienawidzę cię - wyszeptałem, bo wiedziałem, że nie kłamał.

'- Wszyscy tak mówicie - pułkownik posłał mi minimalne wykrzywienie ust, co miało oznaczać uśmiech. - Ale ty chcesz posiąść wiedzę. Tak, bo to jest wiedza tajemna. Jedni czytają gazety i słuchają wiadomości naiwnie sądząc, że dowiadują się faktów. Ale te znamy tylko my. Wyłącznie my wiemy, dlaczego rzeczy się dzieją, jakie są w istocie i co naprawdę oznaczają wydarzenia, którymi pasjonuje się reszta społeczeństwa. Któż oprze się takiej wiedzy, Robercie.

'- Ale jaka jest cena? - zapytałem, chociaż dobrze ją znałem.

'- Samotność - odparł bez wahania. - Jestem tak samo samotny jak ty. Ta firma to mój dom. Nie wolno ci nic powiedzieć, nie możesz wyrazić najmniejszej sugestii, że wiesz coś więcej niż inni. Nie ma z kim szczerze porozmawiać. W końcu przestajemy rozmawiać. A czasem cena jest jeszcze wyższa, ale my ją płacimy. Nie ci, którzy tu przychodzą na chwilę sądząc, że są tylko urzędnikami aparatu państwowego. Nie, oni nie. Tyko my, prawdziwi słudzy państwa. Chcę, żebyś razem ze mną wszedł do ostatniego kręgu wiedzy. Nikt nie potrafi ci więcej zaproponować.

'- Kusisz mnie - powiedziałem zapalając papierosa. Wydmuchnąłem dym gdzieś pod sufit pokoju.

'- Czy trzeba być aż takim rozbitkiem, aby być dopuszczonym do tajemnicy? - zapytałem prawie melancholijnie.

'- Czasem trzeba - potwierdził moje najgorsze obawy. - Tylko ktoś, komu pozostaje jedynie firma jest gotowy do udźwignięcia takiego ciężaru. Ja nie żartuję, Robercie, to wystawi na próbę całe nasze człowieczeństwo. A jeśli się załamiesz, to ja będę musiał za to odpowiadać. A być może jest jeszcze ktoś nade mną, kto dopilnuje, żeby nie było wpadki lub zatrze wszystkie ślady w przypadku niepowodzenia.

'- Czy zdajesz sobie sprawę, z tego, co mówisz? - zapytałem zimno, bo właśnie dreszcze przebiegły mi po plecach. Filipski nie żartował. Chciał mnie wprowadzić w coś naprawdę tajnego i dawał mi właśnie do zrozumienia, że nie będzie odwrotu, a wszelka dezercja wydawał się być karana w tylko jeden sposób.

'- Jak najbardziej.

'- A jeśli się zgodzę?

'- Nigdy nie będziesz mógł wycofać swojej zgody - mruknął, bo on już się zgodził. On już podpisał swój cyrograf. A jeżeli naprawdę był taki samotny, jak mówił, to może po prostu potrzebował drugiego takiego samego rozbitka, aby móc się na kimś wesprzeć w chwilach zwątpienia i słabości, które dopadają czasami każdego z nas. A cała ta gadka, to po prostu wbijanie mnie w dumę.

'- Jaką masz alternatywę? - zapytał pułkownik. - Co czeka cię za tym oknem?

Wskazał ulicę za szybą. Obaj znaleźliśmy odpowiedź. Tam za oknem nic nie czekało na Roberta Niczewicza. Tylko piekło samotności i bolesnych wspomnień. Więc ruszyłem swoją drogą z piekła do piekła...

'- Nigdzie nie będzie zapisane, gdzie pracujesz - po dłuższej chwili podjął Filipski. - Będziesz podlegał wyłącznie mnie i wykonywał tylko moje rozkazy. Wszystkich innych będziesz mógł kopać w dupę.

'- Pociągająca perspektywa - mruknąłem.

Pułkownik ponownie sięgnął do biurka i wydobyl z niego z niego papierową teczkę, w której znajdował się tylko jeden krótki dokument. Filipski odwrócił teczkę tak, żebym mógł przeczytać pismo. Był to dokument tajny, specjalnego znaczenia, z rozdzielnika wynikało, że został sporządzony w tylko jednym egzemplarzu, co już było niespotykane. Były to dwa zdania podpisane przez prezesa rady ministrów. Wynikało z nich, że pułkownik Andrzej Filipski posiadał imienne upoważnienie do przeprowadzenia swojej operacji. Nigdy nie spotkałem człowieka, w którego ręce złożono więcej władzy.

'- Prawda, że takie pismo mile łechta ambicje? - zapytał obojętnie chowając teczkę do szuflady. - Teraz zaliczka. Musisz pokwitować.

Z sejfu wyjął i podał mi gruby zwitek banknotów. Potem położył na biurku pokwitowanie i

długopis. Podpisałem czując, jakbym podpisywał cyrograf. A więc stałem się ich duszą i ciałem. Kupili mnie, ale nie za te całe pieniądze, które włożyli mi do kieszeni. Kupili mnie za coś cenniejszego, Za dostęp do prawdy.

'- Sporo -przyznałem, kiedy przeliczyłem banknoty. - Odkąd resort spraw wewnętrznych stał się taki hojny?

'- Odkąd ja mam coś do powiedzenia w tej kwestii – wyjaśnił pułkownik.

'- A wyposażenie?

'- Otrzymasz je każdorazowo przed akcją – mówił. - Teraz dam ci kartkę i ołówek, a także trochę lektury.

Filipski po raz kolejny wkręcił się do sejfów, z którego tym razem wydobył stertę grubych tekturowych teczek. Postawił je przede mną.

'- To są akta osobowe pół setki ludzi- opisał dokumenty. - Niezłych zabijaków.

'- No i co? - zapytałem bez entuzjazmu, od wczesnej młodości miałem awersję do papieru.

'- Wybierzesz kilku -poleciał pułkownik. - Powiedzmy siedmiu, ośmiu. Takich, z którymi wybrałbyś się na wycieczkę do piekła i z powrotem.

'- Po co?

'- Przyjdzie czas, to się dowiesz -mruknął. - W kącie jest sznurek i szary papier. Możesz już się pakować.

Spojrzałem na niego wymownie, lecz Filipowski był już zajęty czyszczeniem swojej fajeczki. Chcąc nie chcąc zawiązałem akta w szary papier i przewiązałem sznurkiem. Nie wyglądało to zbyt estetycznie. Ale pułkownik uważał, że najprostsze rozwiązania są najskuteczniejsze.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

arktur, dodano 18.04.2017 09:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.